

The cover features a white background with scattered blue paw prints of various sizes. On the left side, there are dark blue ink splatters and a thin, dark line. The authors' names and the title are written in a handwritten style, with the title in a bold, sans-serif font.

Wojciech Cesarz  
Katarzyna Terechowicz

**KOCIE KŁOPOTY  
GRZECZNEGO PSA**

Katarzyna Terechowicz, Wojciech Cesarz  
**Kocie kłopoty grzecznego psa**

© by Katarzyna Terechowicz  
© by Wojciech Cesarz  
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:  
Joanna Rusinek

Korekta:  
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie II

**ISBN 978-83-7672-457-7**

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630-23-81  
www.wyd-literatura.com.pl

To nie jest prawda, że psy nie lubią kotów. Psy są naprawdę bardzo przyjacielskie (przynajmniej większość z nich). Psa może wyprowadzić z równowagi tylko wyjątkowo bezczelny i gwizdzący na wszystko kot. Wiem coś na ten temat – w końcu jestem psem. Poza tym, jak już jesteśmy przy kotach – ci wåsaci spryciarze cały czas kombinują, nigdy nie wiesz, co takiemu kotu wpadnie do głowy... Ale może opowiem wam o kotach od początku.

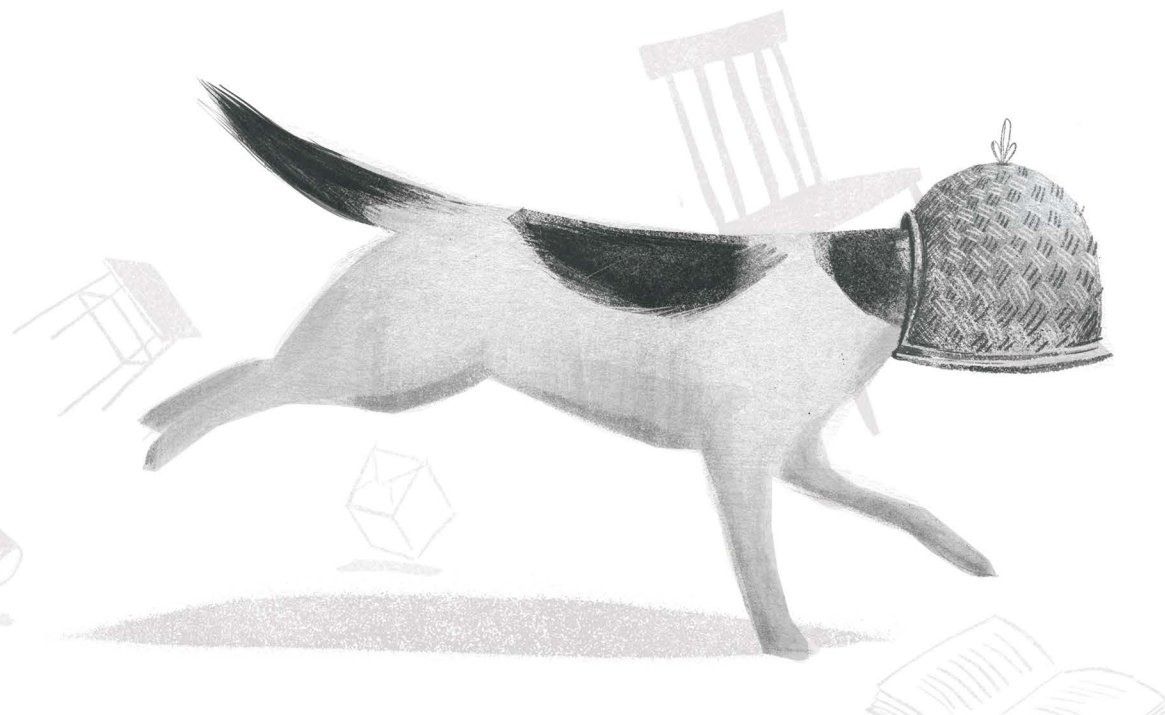
Moje kocie kłopoty zaczęły się pod koniec wakacji, kiedy na wycieczce w górach przyplątał się do nas kot. Mały, szary, pręgowany, z aroganckim białym pyszczkiem, nastroszonymi wåsami i monstualnym apetytem – przyjechał z nami do Warszawy. Po nieudanej próbie sprezentowania go sąsiadce zamieszkał na dobre ze mną, czyli wyjątkowo grzecznym malamutem Winterem, i moim stadem: Henrykiem, Hanką, Alkiem, Julią i Rudym.

Szybko zauważyłem, że sposób rozumowania kotów jest mi zupełnie obcy. Milion razy lepiej dogaduję się z Rudym, który bywa krnąbrny i uparty, ale w końcu jest psem i dość szybko zorientował się, kto jest w naszym domu przewodnikiem stada. Natomiast Marian (tak się nazywa bezczelne kocisko), od kiedy tylko się pojawił, panoszył się po całym domu, mrucząc jak rozklekotany traktor, wyjadał w nocy jedzenie z mojej miski, robił fi-kołki, a potem uciekał na szafę (albo na drzewo) i śmiał mi się prosto w nos. Takie zachowanie coraz bardziej działało mi na nerwy. A skoro ludzie nie dawali sobie z nim rady – sam postanowiłem go wychować.

Tymczasem nasz dom powoli zapełniał się kocimi gadżetami – na każdym kroku potykałem się o jedną z czterech kuwet, jakieś drapaki, kocie domki, pluszowe myszy, piłeczki z piórami. Marian dostał nawet własne miniaturowe posłanie dla yorków, ale spał w nim tylko kilka razy. Zauważyłem, że koty są bardzo kapryśne i humorzaste. Próbowałem go pilnować, ale on co kilka dni zmieniał swoje zwyczaje. To spał w łóżku z Henrykiem, Hanką, Alkiem albo Julią, to w koszyku Rudego, czasem na kanapie albo w szafie, czy w jakimś zakamarku. Posunął się nawet do tego, że kiedyś uciął sobie drzemkę w MOIM ulubionym miejscu pod schodami. Próbowałem dać mu do zrozumienia, że zachowuje się bardzo niegrzecznie. Warknąłem ostrzegawczo i miałem nadzieję, że jakoś zareaguje, ale on tylko ziewnął i odszedł tym swoim skradająco-kołyszącym się krokiem na krzywych łapkach.

Z kotem bezustannie bawiliśmy się w podchody. Jak pilnowałem kącika pod schodami – kocisko kręciło się koło mojej miski. Gdy pilnowałem fotela, Marian już leżał pod schodami albo w koszyku Rudego. Albo na blacie kuchennym. Nie mogłem być w tych wszystkich miejscach naraz, więc pewnego dnia trochę się zdenerwowałem i postanowiłem przejść do ataku.

Poranek zacząłem od próby zajęcia kociego wiklinowego domku. Wsadziłem tam pysk – było ciasno, ale ja się łatwo nie zrażam, więc zajrzałem głębiej i... zaklinowałem się razem z uszami. Wokół zrobiło się ciemno i chyba straciłem wzrok. Szarpnąłem pyskiem raz i drugi. Nic, ciemno i duszno. Zacząłem się tarzać, waląc łapami w moją pułapkę. Wciąż nic. Nie powiem, żebym wpadł w panikę, ale... ruszyłem galopem przed siebie, bo chwilowo nie miałem lepszego pomysłu. Po drodze walnąłem



w coś twardego, potem obitem się o jakąś ścianę i zobaczyłem gwiazdy. Coś mnie uciskało w szyję i zaczynało mi brakować powietrza. Miotalem się, nic nie widząc, co chwila wpadały na mnie jakieś przedmioty. Słyszałem wokół brzęk tłuczonego szkła i różne głuche, dziwne odgłosy, jakby coś się przewracało. W końcu z oddali dobiegł mnie krzyk Henryka:

– Co tam się dzieje? Wiiinter?!

Skoczyłem w stronę, z której dobiegał znany mi głos. Po drodze o coś jeszcze zawadziłem, a potem, kierując się nosem, wbiegłem po schodach na górę, skoczyłem w prawo i wylądowałem na czymś miękkim, co nagle zaczęło głośno sapać i się wiercić. Dotarł do mnie znajomy zapach Henryka.

– Czyś ty oszalał, Winter?! – ryknął. – Co ty robisz z koszykiem Mariana na łbie?

A potem poczułem mocne szarpnięcie i... nagle odzyskałem wzrok. Widok był przedziwny. Leżałem na Henryku, który – zły jak osa i czerwony na twarzy – usiłował się spode mnie wydostać. Pidżamę miał całą wymiętą, ale nie będę go krytykował, bo to jego sprawa, w czym lubi spać. Obejmował kurczowo zaśliniony koci koszyk. Co Henryk robi w łóżku z kocim posłaniem? Zacząłem się nad tym zastanawiać, ale nagle zaburczało mi w brzuchu (znacie pewnie to uczucie szalonego głodu) i szybko zapomniałem o kłopotach z kocim koszykiem, bo miałem na głowie poważniejszy problem – pusty brzuch. Zbiegłem po schodach i ruszyłem w stronę kuchni, przebiegając przez salon, który wyglądał, jakby przeszło przez niego tornado.

Poprzewracane krzesła i stoły, porysowane ściany, zwalone lustro i wszędzie na podłodze pełno szkła.

Bruuu, briii, bruum, braaamm!!! – rozległo się w moim brzuchu. W dwóch susach znalazłem się w kuchni przy misce.

Myślicie, że czekało na mnie jedzenie? Nic z tego – moja miska była pusta. PUSTA! Kilka razy trąciłem ją nosem, ale nikt się nie pojawiał. Wreszcie usłyszałem jakieś kroki na schodach – nadstawiłem uszu, ale zamiast „czas na śniadanko” albo „chodź na obiadek” usłyszałem z salonu ryk Henryka:

– Ratunku, trzymajcie mnie! Ja tego nie wytrzymam!

– Co się dzieje?! – krzyknęła z sypialni Hanka.

– Kataklizm, katastrofa i kompletna degrengolada! Trzęsienie ziemi i wybuch wulkanu! A poza tym czeka nas remont domu. To się dzieje!

Zajrzałem do salonu, ale na mój widok Henryk zaczął machać rękami, jakby opędzał się od natrętnej muchy.

– Idź stąd, Winter! Niegrzeczny pies!

O co mu chodzi? Biega po rozbitym szkłe, demoluje salon, robi mnóstwo hałasu i ma do mnie pretensje nie wiadomo o co. I to ja jestem niegrzeczny?

– A co tu się stało? – Hanka stanęła w progu salonu i przetarła oczy ze zdumienia.

– Ten pies z piekła rodem... – zaczął Henryk podniesionym głosem, ale nie dokończył.

– Zamiast lamentować, idź po odkurzacz – przerwała mu Hanka. – Chodź, Winter, na śniadanko.

Wreszcie usłyszałem słowa, na które czekałem tak długo, i poleciałem prosto do mojej miski. Na środku





kuchni siedział Marian (skąd on się tam wziął?) i mrużył te swoje zielone ślepia. Wydawało mi się, że jakoś tak prowokacyjnie machnął wąsem w stronę mojej miski, ale postanowiłem to zignorować, bo jak jestem na czczo, to nie mam ochoty na wychowywanie kota.

Już miałem zabrać się do jedzenia, gdy nagle coś szarego świsnęło mi przed nosem i przeleciało po kuchni jak Pendolino. Spojrzałem groźnie na Mariana, ale on już spokojnie siedział na kuchennym blacie i patrzył znudzony przez okno.

Gruuum, griiiiiim, grooom!!! – mój brzuch głośno domagał się posiłku.

Otworzyłem paszczę i... znowu coś przemknęło mi przed nosem. Warknąłem ostrzegawczo. Kot siedział na krześle, zajęty czyszczeniem swojej łapki. Zaraz, co jest?! Nic nie rozumiem, czy Marian może przebywać w kilku miejscach naraz?

Zbliżyłem nos do miski, ale najpierw na wszelki wypadek zerknąłem na kota, żeby ustalić, gdzie aktualnie przebywa. Marian czyścił sobie drugą łapkę i nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Przeżuwałem właśnie pierwszy kęs, kiedy coś szarego przeleciało mi nad głową jak szybowiec, a potem (to już szczyt wszystkiego!) z plaśnięciem wylądowało w mojej misce. Zaryczałem z oburzeniem, tak jak to robią głodne malamuty. Marian wyskoczył na metr do góry – po czym dał nura przez okno, dziko miaucząc.

Nie rozumiem jeszcze jego mowy, ale to chyba nie było nic miłego.

## Czary-mary, hokus-pokus

W sobotę były urodziny Julki. Hanka od rana piekła tort, a Henryk snuł się po ogrodzie z drabiną i rozwieszał różowe balony. Nawet kilka udało mi się upolować – ale był przy tym huk! Potem Henryk zaczął rozbijać na trawniku kolorowe namioty, połączone jakimiś tunelami. Wszystko co chwilę mu się myliło, plątało i wywracało, więc cały czas tylko wzdychał i narzekał pod nosem. Wreszcie udało mu się ustawić całą konstrukcję, usiadł na trawie i otarł pot z czoła. Był jakiś taki przygaszony, więc chciałem mu poprawić humor i zacząłem biegać wokół namiotów, a potem z rozpędu wpadłem do środka. Próbowałem przelecieć przez tunel, ale okazał się za ciasny, i utknąłem gdzieś w połowie drogi.

Nie lubię być uwięziony, a tym bardziej w coś owinięty – wpadłem w lekką panikę i zacząłem się szarpać i przebierać łapami jak szalony. Z oddali dobiegały mnie rozpaczliwe krzyki Henryka. W końcu rozległ się nieprzyjemny trzask i... byłem wolny. Na widok błękitnego nieba wpadłem w euforię i zrobiłem radosne kółko wokół domu. Gdy wróciłem do Henryka, oglądał podarte na strzępy resztki namiotu, wykrzykiwał coś o psach psujach (chyba to Rudy narozrabiał) i w końcu pojechał do sklepu po nowy namiot, a ja przysnąłem.

Obudzili mnie pierwsi goście, którzy stali przy furtce – dziwnie ubrani chłopiec i dziewczynka z tatą. Dziewczynka miała różową sukienkę, przyczepione do pleców skrzydełka i różową spiczastą czapkę, a chłopiec, też w spiczastej czapce, nosił długą czarną pelerynę. W ręku trzymał coś w rodzaju miotły. Julia (w śmiesznym zielono-czerwonym stroju ze skrzydełkami) otworzyła im furtkę, a ja natychmiast pobiegłem się przywitać.

– Zosia, Staś... witajcie na zlocie czarodziejów! – powitała ich Julia.

Nie wiem, kim są czarodzieje, ale to ma chyba jakiś związek ze skrzydełkami.

– Jaki piękny pies! – uśmiechnął się ich tata, a ja pomachałem ogonem, bo jestem bardzo towarzyskim psem.

Skoczyłem w kierunku Stasia, ale on zaczął wymachiwać miotłą i coś krzyczeć w niezrozumiałym języku.

– Hokus-pokus, abrakadabra!

Dziwne, nic nie rozumiałem. Chciałem przywitać się z Zosią, ale świsnęła mi przed nosem różdżką i wyszeptwała:

– Czary-mary! Sim-sala-bim!

Co to ma znaczyć? Stanąłem jak wryty i zastrzygłem uszami.

– Widzicie? Czary na niego działają! – ucieszyła się Zosia.

Teraz miotła Stasia znowu świsnęła mi przed nosem.

– Bim-bam! Basala-dusala-dim!

Na wszelki wypadek odskoczyłem.

– Przestańcie męczyć psa – wtrącił wreszcie nieśmiało ich tata.